Relacje świadków historii

Materiał 5
Eugeniusz Trepczyński

Rocznik 1924, cywil, Wola

Kolejny dzień wyglądał gorzej. Już na drugi dzień zaczęły się… wtedy zaczęły się masowe [egzekucje]. To może za mocno powiedziane, bo tam większość ludzi nie była ranna, a byli zabici od razu po prostu, bo trupów na ulicach były straszne ilości. Zresztą zaczęło przybywać rannych przede wszystkim, więc wtedy kto mógł jakoś [to pomagał] – a już byłem trochę rekonwalescentem […] – stałem się raptem sanitariuszem, stałem się pielęgniarzem… Musiałem się nauczyć zastrzyków, dyżury, bo kto mógł, to musiał pomagać, bo rannych było dużo, a personelu tyle ile było. […] To trwało od drugiego głównie do piątego.

[…] Atmosfera już wtedy była nienadzwyczajna, każdy był przygnębiony, bo jeszcze tam dochodzili cywile, którzy tam pouciekali. Poza tym rozeszła się wieść […] że wszystkich rozstrzeliwują, gdzie dopadną w domu, to tylko same trupy, nie ma tam wyjścia. Zresztą był taki rozkaz Hitlera, miasto spalić, ludzi wybić i oni to konsekwentnie realizowali. Ponieważ Wola była pierwszym ich uderzeniem, to tam ludzi naginęło multum. Tam rannych to… byli ranni, to jakoś może dotrwał, byli tacy może silniejsi ode mnie, co przynosili ich na noszach, czy w czymś. Trzeba było ich opatrywać, tak jak człowiek umiał, tak to robił, miałem jeszcze na tyle siły. Zresztą dzięki temu, że miałem siłę, to wyszedłem ze szpitala. Właśnie piątego około południa wpadła zgraja jakichś żołnierzy pod dowództwem Niemców, zaczęli biegać po pokojach i Raus! Raus! Raus! Wyrzucać wszystkich. Kto nie mógł chodzić, to tak jak później słyszałem, były strzały, na miejscu załatwiali. Byłem wtedy w szpitalnym ubraniu, w szlafroku szpitalnym, myślałem że mi się uda, tak jak niejednokrotnie mi się udawało jakoś. Ale niestety wszystkich wygarnęli, zeszliśmy do holu na dół i ten kto mógł zejść to zszedł, a co się z tamtymi stało trudno powiedzieć. Na przykład leżałem z czterema jeszcze osobami, których nie widziałem później wśród [tych] na dole. Być może ich zabili, nie wiem […], kto nie wychodził, to go zabijali na miejscu, na łóżku na przykład. Wygarnęli wszystkich do holu i tam jak zebrali, nie wiem czy wszystkich, czy nie wszystkich, w każdym razie całą grupę ludzi, wypędzili nas na ulicę. Popędzili nas kawałek, do Górczewskiej z Płockiej, bo z Płockiej wejście do szpitala było[…]. Kawałek Płocką w Górczewską i pędzili nas, wtedy domy się wszędzie palą, trupów pełno, różnych tobołków, rzeczy, jacyś ludzie leżą, to się nie da opowiedzieć, to trzeba było zobaczyć. Bo tak będę mówił, że co krok leżał trup? Trudno sobie wyobrazić nieraz takie historie […]. Dopędzili nas do wiaduktu kolejowego na Górczewskiej, całą grupę, zresztą szli tam też ranni ze szpitala, lekarze, zespół szpitalny i chorzy również. Przed wiaduktem była wnęka, nie wnęka, ale nasyp jak gdyby i nas wpuścili w taką wnękę, naprzeciwko postawili karabin maszynowy. Wyglądało na to, że będą strzelać, więc zrobił się straszny krzyk, gwałt, ludzie coś zaczęli krzyczeć i oni się jakoś, nie wiem, albo zorientowali, że zaczną ludzie uciekać, zaniechali tego, przepędzili nas pod wiaduktem. Za wiaduktem po lewej stronie były hale, chyba to były hale fabryczne […]. Tam bardzo dużo ludzi już było i jeszcze dopędzali. Porozsadzaliśmy się w znajomym gronie, to znaczy tam nie było znajomych[…], ale raczej znajomi w nieszczęściu i zaczęli wywoływać, na przykład: „Potrzeba dziesięciu do kopania dołów! Proszę się zgłaszać!" Zgłaszali się. To potrzeba tam znowu jakichś, to potrzeba znowu jakichś i tak wychodzili ludzie, wychodzili, mężczyźni głównie. W końcu chętnych zabrakło i nas […] już wtedy brali po kolei. Przyszła kolej na mnie, w grupie chyba około dwudziestu ludzi, może więcej, […] wyprowadzili nas na Górczewską, za wiaduktem już i w dalszym kierunku jak gdyby od Warszawy w stronę, nie wiem, Leszna… W każdym razie w tamtym kierunku nas wyprowadzili, […] i raptem zobaczyliśmy, co się dzieje. Przed nami po prawej stronie stały domy na wzniesieniu – ludzi rozstrzeliwują. Każdy podchodzi, bach! To znaczy nie podchodzi, tylko ludzi wpędzają na plac, dookoła stoją Niemcy, właściwie to nie byli Niemcy, tylko to byli jacyś… […] mówili ogólnie, że to Ukraińcy, ale to były różne najemne wojska niemieckie, i strzelali jak do kaczek. No to już każdy wiedział, na co można liczyć, jak się stoi, a z przodu są już rozstrzelani. Odmówiłem „Pod twoją obronę" i ze mną szedł, być może, że to […] był jeden z moich podopiecznych ze szpitala, […] o kulach, raptem rzucił kule i mówi: „Daj pyska, już się nie zobaczymy." Idzie normalnie, mnie wziął pod pachę i idziemy. Weszliśmy na ten teren, po lewej stronie tego terenu leżały stosy trupów, po prawej stronie mniej i nas tu właśnie zaczęli rozstrzeliwać, tu gdzie było mniej. Raptem poczułem, że ktoś mnie ciągnie. Ten, którego być może kiedyś w szpitalu, nie twierdzę, że go akurat uratowałem, on mnie uratował, bo mnie pociągnął, a ja z nim się przewróciłem. Poczułem… nie ból, a coś przez rękę jakby mi przeszło, myślałem o kuli, że to jest. Upadłem, rękę miałem tak podpartą i leżę. […] Nie wiedziałem czy żyję, czy nie żyję, leżę i leżę. Tak leżałem aż się zrobiło… to znaczy jak podniosłem głowę, to była noc. Znowu, czy ja nie jestem w piekle czasami. Dookoła palące się stosy trupów, do mnie doczołgał się jakiś facet, pyta się: „Ranny jesteś?" Mówię: „Nie wiem czy jestem ranny, bo coś mam tutaj rękę." On mówi: „No to uciekamy stąd." Ja mówię: „A my żyjemy?" „No chyba żyjemy." No to jak żyjemy, to zaczęliśmy po tych trupach przeczołgiwać się do parkanu, tam stały domy chyba dwupiętrowe, jakieś domy stały palące się też, głownie spadały na tych pozabijanych ludzi i… paliło się to. Pamiętam, zanim jeszcze nas pędzili na to podwórko gdzie nas rozstrzeliwali, […] widzę, stoi dwóch w białych fartuchach, jakichś panów i rozmawia z nimi Niemiec. Coś tam oni mu klarują, on coś, raptem wyjmuje pistolet, dwa strzały, dwa trupy, poszedł i już […]. Dwa trupy, już wiadomo, że… zresztą ja czekałem też, że za chwilę będę trup, jak nas wprowadzili… Stamtąd się przeczołgaliśmy na plac, wtedy […] zdjąłem szlafrok i tam leżały niesamowite ilości pakunków, dostałem się do tego, znalazłem jakąś marynarkę. […] Raptem spotkałem tam, jeszcze z żywych, księdza i jakaś pani z nami była i żeśmy się zaczęli wycofywać, żeby jak najdalej stąd uciekać.

Materiał 6
Hanna Brelska

Rocznik 1927, służby pomocnicze, cywil, Wola

Jak się zaczęło Powstanie, była tak wielka radość ludzi cywilnych, ludzi, z którymi myśmy wokół mieszkali, że nie tylko ja jedna, wszyscy ludzie rzucili się, żeby pomagać powstańcom. W jaki sposób? Gotowaliśmy im obiady, udostępnialiśmy im mieszkania, żeby oni mogli się wykąpać, pomagaliśmy im czyścić mundury, nawet przyszywać guziki. To wszystko, co może zrobić człowiek

młody, cywilny. Jeżeli chodzi o mnie osobiście, to wraz z moimi siostrami biegałyśmy do szpitalika na ulicę Wolność 14. Tam był punkt opatrunkowy i w punkcie opatrunkowym można było pomagać powstańcom. Nawet z wielkim entuzjazmem szorowałam schody, żeby było jak najczyściej i pomagałam siostrom. Nie byłam sanitariuszką, ale zawsze można było siostrom pomagać w pielęgnowaniu powstańców. Pamiętam tak że, to był szpital, normalny, Karola i Marii, róg ulicy Żytniej i Karolkowej. To był szpitalik dziecięcy, tam były małe łóżeczka, ale kiedy zaczęły się pierwsze transporty rannych do tego szpitala, to powstańcy leżeli na małych łóżeczkach, ale później organizacja tak była sprawna, że i nawet duże łóżka do tego szpitala Karola i Marii też ściągali. Pomagałam w szpitalu św. Łazarza, róg Karolkowej i Leszna, obecnie ten szpital tam teraz też jest. Tam był główny szpital powstańczy. Trzeci szpital powstańczy był na róg Płockiej i Górczewskiej, on się nazywał Szpitalem Wolskim. Teraz jest tam szpital gruźliczy. Tam też żeśmy z siostrami, z koleżankami jakieś paczuszki nosiłyśmy. Co w tych paczuszkach było, to nie wiem. Chodziło o to, żeby jak najbardziej być czynnym, żeby tym ludziom pomagać. Trwało to tylko do 5 sierpnia, dlatego, że już 5 sierpnia oddziały Dirlewangera i Reinefartha parły od zachodu i zaczęły te oddziały zajmować Wolę od strony ulicy Bema, od strony ulicy Sokołowskiej i parli na Szpital Wolski, róg Płockiej i Górczewskiej. Już później nie mogłyśmy nosić tam żadnych paczek, dlatego, że oddziały tych dwóch zbrodniarzy wojennych wymordowali cały szpital, cały personel szpitalny włącznie z lekarzami, z chorymi. Wszystkich mordowali, choćby to były nawet małe dzieci. Już miałyśmy drogę zamkniętą. Ale jeszcze, ile mogłam, pomagałam w tych dwóch szpitalach, przy Szpitalu Karola i Marii i Szpitalu św. Łazarza. Niestety, to trwało tylko do 5 sierpnia, bo już oddziały Dirlewangera parły na plac Kercelego, bo oni obrali sobie drogę z ulicy Górczewskiej poprzez Leszno, na plac Kercelego, w stronę Ogrodu Saskiego, żeby uwolnić generała Stahela […].

[…] 1 sierpnia, tak jak dziś pamiętam, z dużego pokoju wychodziły dwa olbrzymie okna na ulicę Okopową, stałam przy oknie, przy parapecie, bo to był 1 sierpnia. Już się przygotowywałam do szkoły, okładałam sobie książki papierami i nagle od strony getta gruchnęły strzały. Myśmy nie wiedzieli początkowo co to jest. Wiedzieliśmy, że Powstanie będzie, ale nie wiedzieliśmy dokładnie którego dnia. Gruchnęły strzały, ulica nagle się wyciszyła, nie było żadnego człowieka na ulicy Okopowej. Tylko pamiętam, stojąc przy oknie, patrząc na ulicę Okopową zobaczyłam rozbrykanego konia, który ciągnął bryczkę bez człowieka. […] I te strzały. […] Okazało się, że ten rejon był w rękach Jana Mazurkiewicza „Radosława." Tam walczyła „Czata", „Broda", „Parasol", to już nie będę wymieniała wszystkich po kolei. Nagle zaroiło się od powstańców. Okazuje się, że na ulicy Mireckiego była fabryka Telefunken, gdzie był punkt zborny powstańców. To jest fakt autentyczny, bo tam też byłam, zajrzałam, bo tak wszędzie mnie było pełno. Zresztą powstańcy nie za bardzo się cieszyli, jak tam się cywile kręcili, ale też i tolerowali. Tam widziałam powstańców. Tam tak było, że, tego nie widziałam, ale z opowiadania, ulicą Powązkowską, od strony getta […] od strony ulicy Gęsiej jechał samochód ciężarowy niemiecki, wjechał w ulicę Mireckiego. Niemcy coś tam chcieli w fabryce Telefunken załatwić, ale co, nie wiadomo mi. Nagle otworzyły się drzwi, samochód podjechał i powstańcy ich tam wszystkich zaprosili do środka. To fakt autentyczny, że na ulicy Mireckiego byli powstańcy. Tam na ulicy Mireckiego też żeśmy nosili obiady. Bardzo skromniutkie obiady, bo była bieda, ale co można, to się robiło.

Materiał 7
Jacek Siciński

Rocznik 1939, Cywil, Stare Miasto

[…] Mieszkaliśmy właśnie w domu pracowniczym Brzozowa 2/4. To były bardzo piękne dwa domy widoczne z Trasy Łazienkowskiej po prawej stronie, przed sylwetkami katedry i Zamku. […] To było bardzo porządne [mieszkanie], z centralnym, w ogóle mieszkanie było piękne. Niemniej już dziesiątego dnia Powstania czy dziewiątego musieliśmy je opuścić... Nie, wcześniej, szóstego czy siódmego musieliśmy je opuścić.

[…]

Już jak zaczęło się Powstanie, to jak wiadomo, były bombardowania, więc zostało mi tylko w pamięci, jak zbiegamy, widzę pięknie lakierowaną poręcz, po której też przesuwam dłonią, i biegniemy na dół do piwnic. […]Dopiero właściwie Powstanie uczyniło mnie zdolnym do opowiadania, znaczy zapamiętałem to, co się działo, owszem.

[…]

Właściwie to pamiętam dopiero sytuację, kiedy... Bo po prostu AK poleciło opuścić wszystkim wszystko i znaleźć sobie miejsca. Nie było czasu na... zresztą była wielka solidarność, więc tam wszystkich przyjmowano. Więc my przeszliśmy kawałeczek tylko stamtąd, co się Celną troszkę podchodzi i już jest Rynek Starego Miasta. I to ja wiem z opowiadania, pod numerem 12, to jest mniej więcej vis-à-vis Fukiera czy byłego Fukiera. W każdym razie na trzecim piętrze mieliśmy znajomych i tam zamieszkaliśmy. […]

... Nie wiem, jaki był powód, ale musieliśmy przejść częściowo pod obstrzałem przez Kamienne Schodki. Niby to dwa i pół metra, ale tam była taka jakby zasłona trochę, tak że najpierw się przemykała czy przechodziła mama, ja się czołgałem, a za mną ojciec […]. Przenieśliśmy się na Podwale. Tam był szpital nazywany polowym – Podwale 25. Więc on był dla wszystkich, Powstańców i cywili. Tam też oczywiście komenda AK, znaczy dowódca Armii Krajowej pozwolił nam z uwagi na to, że z małym dzieckiem rodzice byli, zostać. Niemniej to szybko się skończyło, bo 13 sierpnia, to jest dość znane, wybuchł... to był opancerzony gąsiennicowy transporter amunicji, mówiło się czołg, ale to nie był [czołg]. On miał sylwetkę oczywiście czołgu, ale mały jakby. Niemniej on został […] podprowadzony blisko pozycji powstańczych i porzucony. […] I niestety, mimo że dowódca odcinka nie pozwolił nikomu podchodzić, ale to było takie napięcie, taki entuzjazm, ach, tam zaraz, a zdobyliśmy. Uruchomiono to urządzenie i zaczęto tam jeździć gdzieś w okolicach. I niestety był oczywiście fachowiec, który miał sprawdzić to najpierw i nie pozwolono dotykać, póki on nie sprawdzi. Szkoda tylko, że dowódca nie zarządził, żeby on natychmiast wszedł, bo on pracował w fabryce granatów bodajże, więc miał do którejś godzinie pracę. Jak wyszedł i szedł już, żeby to wreszcie [sprawdzić], bo zobaczył, że ten pojazd dalej jedzie blisko, to nastąpił wybuch, ogromny wybuch. Zginęło trzysta osób. Nawet na trzecim piętrze [były] części ciał. Była wielka masakra. Mówię dlatego, że ja... oczywiście nie byłem przy tym, bo bym nie mówił teraz, ale byłem za murem, który się ostał. Byliśmy wewnątrz i jakimś cudem ojciec dostał jajko. Elektrownię opanowali Niemcy 6 września, tak że jeszcze prąd był i gotowaliśmy. Widzę tę maszynkę, ten kubek i jajko, potem jest huk ogromny. Nie pamiętam, czy pył nie… Potem tylko jak podeszliśmy do wyjścia, to taka masywna, gruba, duża brama leżała jak karta pchnięta. […]

2 września wchodzą Niemcy na Stare Miasto.

[…] Znaczy wojsko niemieckie kazało właśnie na […] nasze podwórze Brzozowa 2/4 wchodzić. Wejść i tam się zebrać. Tam chodziło oczywiście o kontrolę, sprawdzenie wszystkich i tak dalej. […] Tam już była ponura kontrola, ponieważ wyłapywano ludzi, pamiętam. Powiedziano mi, że wystarczyło mieć brązowe palce od papierosów, to uważano, że od prochu, czyli że amunicję się produkowało. Buty z cholewami, to samo. Kawałek niemieckiego munduru – też. Tych ludzi oddzielano. Nie wiem, można się domyślić, chociaż mordowanie było na porządku dziennym. Resztę nas sprowadzono.

[…] Mieliśmy schodzić w stronę Wisły, bo to jest blisko Wisły. Jak się patrzy i widzi Stare Miasto, to ono opada jakby i ta nasza obecna widokowa góra też opada. To się nazywało Góra Gnojna kiedyś, przed wiekiem chyba. […]

Jak już mnie zniesiono, to ruszyliśmy piechotą ze starego miasta. Praktycznie nie pamiętam już tego, a przebieg jest znany. Więc mogę teraz powiedzieć, że [szliśmy] aż na Dworzec Zachodni. Tam były kolejne kontrole, sprawdzali i tak dalej. Na Dworzec Zachodni, bo stamtąd jechało się... to był Durchgangslager 121, czyli, mówi się popularnie, Pruszków, obóz przejściowy w Pruszkowie. Tam rzeczywiście wagonami zawieziono nas. Z tym że to był naprawdę kawał drogi dla ludzi umęczonych, którzy w piwnicach... było strasznie ciężko i jeszcze dziecko. Chyba mnie tam trochę nieśli, nie wiem, czy cały czas. Chyba nie szedłem tyle kilometrów, bo to było ciężko. […]

Materiał 8

Irena Trafikowska, PS. „Emilia"

rocznik 1925, sanitariuszka, łączniczka, Wola, Stare Miasto, Czerniaków

Z konspiracją pierwszy raz zetknęłam się poprzez zaprzyjaźnionego kolejarza, który przywoził mi pieniążki od mamy. On miał znajomych na ulicy Emilii Plater. Nazywali się chyba Kamińscy i właśnie tam był młody człowiek, który należał do ZWZ. To było w 1942 roku, zaraz na wiosnę. Zajął się grupą dziewcząt i uczył nas topografii, zajęcia sanitarne były też. To były pierwsze zetknięcia. Potem już po nitce do kłębka. Musiałam się postarać o jakiekolwiek dokumenty, żeby móc poruszać się swobodnie. Zaczęłam od poszukania szkoły, która by przyjęła mnie bez świadectwa i bez żadnych dokumentów. Znalazłam i poszłam do trzeciej klasy. Była to szkoła oficjalnie uznana przez Niemców. To były tak zwane Kursy Handlowe imienia Aleksandra Lipy. Tego Lipy nie spotkałam w encyklopedii żadnej, więc to chyba w ogóle była ... lipa. Ludzie byli wspaniali, wykładowcy fantastyczni, dyrektor na medal. Nasza szkoła mieściła się w willi przy ulicy Obrońców, na Saskiej Kępie. Mając już legitymację szkolną mogłam iść do Instytutu Głuchych gdzie wydawali Kenkarty. Na podstawie Kenkarty dostałam kartkę żywnościową. Czułam się już obywatelem Warszawy. Byłam wtedy szczęśliwa, że jestem w Warszawie. Wiedziałam, ze Warszawa mnie nie zawiedzie, było to moje marzenie od dzieciństwa. Tak czułam się cały czas jakoś pod ochroną. Nigdy wieczorem po godzinie policyjnej, przewożąc paczkę w porę nie rozniesionych pism, nie wpadłam w ręce żandarmów. A ileż razy przejeżdżałam tak zwanym tramwajem zero. Zero to był nocny tramwaj tylko dla Niemców. Oczywiście wsiadałam do motorniczego i mówiłam: „Proszę pana, ja mam trefną paczkę" - „Dobrze, niech panienka rzuci mi w nogi, gdzie panienka chce wysiąść?". „Tam, a tam ale między przystankami" -"Dobrze, ja zatrzymam". Przyhamował tam gdzie trzeba, paczkę odbierałam, szłam, nikt mnie nie ścigał.

Po 1 sierpnia zostałyśmy przydzielone całą grupą, nas dziewcząt było bardzo dużo, do szpitala. Szpital Karola i Marii wkrótce został opanowany przez Niemców i zostałyśmy zwolnione przez swoją drużynową. Powiedziała: „Ratujcie się dziewczęta jak możecie". Przeszłam do szpitala świętego Łazarza przy ulicy Wolskiej gdzie byłam kilka dni. Tam również wkroczyli Niemcy i zaczęli zagrażać wszystkim rannym leżącym w szpitalu. Było tak groźnie, ze wyprowadziłam jednego z chodzących rannych i opuściłam szpital, znalazłam się na pustej ulicy. Przebiegała harcerka, która wciągnęła mnie do „Parasola". Dostałam przydział do Pierwszej Kompani Drugiego Plutonu i brałam udział w potyczkach na cmentarzu. Tak się zaczęła moja obecność w Parasolu.

Muszę powiedzieć jeszcze o jednym momencie, który do dzisiaj uwiera mnie i boli w sercu. Poza pałacem, w którym mieliśmy kwatery, była także oficyna. W tej oficynie mieszkali cywile. Ludność zniosła cały swój dobytek do piwnicy. Tam była wegetacja, nawet taka jakaś możliwa, do przyjęcia. Pani Borejsza zaproponowała, żebyśmy się poszły umyć. Oczywiście, dziewczęta bardzo o tym marzyły. Zaprosiła nas na swoje piętro, przygotowała nam mycie i nakarmiła nas. Prosiła tylko, żebyśmy dały znać jak będziemy odchodzić. Tego nie mogłyśmy uczynić. Nie wolno mówić cywilom, że opuszcza się miejsce postoju. Bo cywile ruszyliby z płaczem, z krzykiem, z szykowaniem swoich rzeczy. Przez kanał nie wpuszczali cywilów, tylko wojskowym wolno było wchodzić. 2 września o świcie opuściliśmy Stare Miasto i wyszliśmy na Wareckiej.

Mało że zdążyłyśmy się wtedy umyć. Myśmy nawet chciały głowy umyć. Ale to, co zobaczyłyśmy w miednicy, to nikt nigdy nie widział i nie zobaczy. Cała woda się ruszała. Pozostało tylko warkocze wepchnąć pod chustkę, szczelnie zawinąć, nałożyć na to furażerkę i istnieć z tym wszystkim. Rzadko się myłyśmy. W ogóle się nie czesałyśmy. O myciu zębów nie było co marzyć, o obcinaniu paznokci też nie. A jednak na Zagórnej dziewczęta poszły do fryzjera. Zagórna to blisko już na Czerniakowie, tam mieliśmy przez chwileczkę kwaterę. Byłam taka zaszokowana. Ja się wstydziłam pójść z tym co mam na głowie. Także prawdopodobnie umyły sobie głowy, tak szczegółowo nie pamiętam. Takie były różne doznania.

[…] Jak wylądowaliśmy na Saskiej Kępie biegłam po pomoc, żeby tego rannego zabrać z wybrzeża. Nie mogłam go targać, nie miałam siły. W pewnym momencie upadłam i skończyła się dla mnie świadomość. Ocknęłam się, zobaczyłam nad sobą głowy i usłyszałam „Chyba nie, to z głodu. Czy pani głodna?" . Więc odpowiedziałam, że chętnie bym zjadła kartofle. Chleba nie widziałyśmy od dłuższego czasu. Kaszy też już się nie gotowało. Po prostu z kwatery na kwaterę było coraz gorzej. Nie jadło się i nie piło. W jednym ze zburzonych domów na jakimś tam piętrze doczołgałam się do łazienki gdzie stała wanna, a w niej woda. Nie była to jakaś apetyczna woda, ale zniosłam ją i dałam rannemu do picia, bo takie wyschnięte miał wargi i gorączkę. Na takie gesty się człowiek zdobywał, nie wiedział co z tego wyjdzie. Podobno taka woda nie szkodziła.

A najlepsze wspomnienie?

Nie spodziewałam się takiego pytania. Chyba pierwszy dzień, pełen entuzjazmu i nadziei. Tyle zapału w nas było. Chcieliśmy się sprawdzić.

Materiał 9

Apolinary Cynk-Borucki, pseudonim „Boruta"

Rocznik 1925, kapral podchorąży, Wola, Stare Miasto, Czerniaków

Nie, z konspiracją zetknąłem się w miejscu zamieszkania na przełomie 1942 i 1943 roku. Właściwie do Powstania [mieliśmy] wszystkie szkolenia z zakresu uzbrojenia, regulaminu, to, co normalne na szkoleniu podchorążówki. Czasami chodziliśmy na rozbrojenie Niemców, bardzo to śmiesznie wyglądało. Piątka chłopaków chodzi po ulicy w jedną i w drugą stronę, ludzie się orientują, raptem zamykają sklepy, okna zamykają, myśmy się doskonale bawili. Też żeśmy szkopa dorwali. Oni też wiedzieli, że są rozbrajani, tak że bardzo często w kaburze mieli gałgany, a broń gdzie indziej. […].

Człowiek się musiał zakochać w czasie Powstania. Miałem moją jedną jedyną, pierwszą miłość. Jeszcze pierwszego gdzieś o godzinie dwunastej poleciałem na Żoliborz. Wiedziałem, że łączniczka ma przyjść później, to jeszcze sobie skoczę na Żoliborz. Rzeczywiście przyszedłem, Danka tam była, dała mi chlebak, z którym wyszedłem, pożegnaliśmy się. Nawiasem mówiąc to jest moja obecna żona.

Dzisiaj każdy mówi: „W Powstaniu trochę żeście strzelali." Każdy czeka aż ten uczestnik Powstania opowie jak to się strzelało i kogo zabił, i tak dalej. Otóż, w pierwszych dniach Powstania, kiedy Niemcy właściwie już przeforsowali Wolę i kiedy drogą przez Elektoralną szli w kierunku Banku Polskiego, to siedząc na barykadzie miałem na celowniku szkopa. Nie mogłem się zdecydować zabić. Mnie w tym momencie przedstawiło się, że to jest jednak człowiek, że ma rodzinę, może ma matkę, może ma żonę, może dzieci, a ja w jednej sekundzie pozbawię go życia. To było okropne. Nie mogłem się zdecydować, mimo to, że sam przeżyłem od Niemców okropności, szwagier był w Oświęcimiu… Nie mogłem się zdecydować… Tylko dopiero porucznik mówi: „Strzelaj, do diabła!" Ten moment, kiedy się trafia i kiedy człowiek wie, że zabił…Potem już wypraktykowałem, że jak człowiek dostanie w łeb śmiertelną kulę, to leci do tyłu, a jak jest ranny, to leci do przodu. Tak jest. Później już nie miałem tych skrupułów, z początku okropnych. Tak że to nie jest tak łatwo zabić człowieka. […]

W Wytwórni Papierów Wartościowych były magazyny żywnościowe, była czekolada, ziemniaki suszone, Bóg wie co. A na Stawkach były panterki, to była duma chłopaka ze Starówy. Dziewczyny nasze jak się poubierały, bo to z jakiegoś esesmana, to wisiało, ale [to była] dziewczyna ze Starówy! Ogień się przeszło, ale rzeczywiście… Muszę powiedzieć na marginesie, że takich dziewczyn jak były na Starym Mieście, to nigdzie nie spotkałem. To były dziewczyny!

Siedziałem na mojej pozycji. Myśmy mieli siedzieć, bo już schodziły oddziały do kanału, a „Barry", znajoma postać, stał nad kanałem. Nie puszczał tam nikogo. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego, do cholery ciężkiej, bez broni trzeba było iść, zostawiać broń nad kanałem. Ja jeszcze nie szedłem tamtędy. Jak już szedłem, to wdepnąłem w jakąś maź ludzką, to była twarz, tylko pełno much było na tej twarzy… fatalne to jest… Chłopaki przylecieli po mnie: „Co ty robisz, do cholery ciężkiej?! Chodź!" Właściwie to żeśmy prawie dobijali się do tego, bo Niemcy już byli na placu. Wlazłem w ten kanał. Do dzisiejszego dnia nie mogę się pozbyć [tego wrażenia]. Śmierdziałem cały czas. Miodową fajnie się idzie, jak człowiek wejdzie, to taka cisza. Jak [człowiek] idzie, przepraszam, w tym łajnie, to tylko tak: bul, bul, bul, bul, bul butami. Wstyd mi się przyznać, ale szedłem trochę na bani, bo bym nie wlazł w ten kanał. Wszyscy mówili, na Starym Mieście nie brakowało nam cukru, konserwy były ze Stawek. Nie zaznałem głodu. Była jeszcze jedna rzecz, na naszej pozycji była starka. Starka to gorzała. Bo tam były składy Simona Isteckiego, chłopaki czasem szli na bańce. Trzeba było, [bo było] ciężko. Były sytuacje, że człowiek normalnie nie wytrzymałby.

Trzeba było widzieć ludzi jak myśmy wychodzili. Mieliśmy się przebić. Trzeba powiedzieć o tej ludności. Ludność Starego Miasta była wspaniała. Oni do nas: „Trzymajcie się, chłopaki." Sami nie mieli co jeść, ale w bramie na dwóch cegiełkach babina podgrzewała trochę wody: „Dziecko, może jesteś głodny?" Tak się zachowywała ludność Starówki. Jak myśmy opuszczali [Starówkę], mieliśmy się przebić, to oni z wyrzutami: „Dzieciaki! Co? Wy nas opuszczacie?" To było to. Oni w nas wierzyli naprawdę, oni nas trzymali. Mało się o tym pisze, ale ludność Starego Miasta to są wspaniali ludzie… wspaniali ludzie... Taki ogień był, a nigdy nie spotkałem się, żeby ktoś powiedział: „Po coście zrobili Powstanie?" Nigdy, nigdy, to była ludność, czego w Śródmieściu nie zastałem. Wlazłem w ten kanał, szło się jakoś dziwnie, ogień, karbid… Nie chcę do tego wracać, nie mogę. Do dzisiejszego dnia sam windą nie pojadę. Nie mogłem znieść tej ciasnoty. Jak się idzie Krakowskim, to trzeba łeb niżej, bo tam chyba jest dziewięćdziesiąt centymetrów, centymetrów tego łajna jakoś wyżej, właśnie tu przy Królewskiej… Nie mogę…

Pan wyszedł w Śródmieściu?

Tak, na Wareckiej wyszedłem.

Tam chyba o wiele lepiej było, prawda?

Wychodziłem, wyciągnęli nas stamtąd, patrzę, szyby, rany boskie! Gdzie my jesteśmy? Facet chodzi, oficerki wyczyszczone, apaszka, kabura, świeży. Rany boskie! Tu człowiek śmierdzi łajnem i wszystkim. Zaprowadzili nas na Chmielną do łaźni, tośmy się myli, śmierdziało to wszystko, rany boskie! Broń Boże, nie ujmuję oddziałom ze Śródmieścia. Wyłazimy z tej łaźni, śmierdzi to wszystko, że rany boskie, głodny człowiek jest jak piorun. Na Moniuszki stoi jakiś powstaniec na warcie, chodzi, pilnuje czegoś, a tam się pali w sklepach. Zbyszek pyta: „Czego ty tu pilnujesz?" „Bo tam są magazyny." Mówię: „Jakie magazyny? Co tam jest?" „Odzież jest." „Jak to odzież? Ty pilnujesz jak się pali?" „Tak kazali." Mówię: „Dalej, do diabła! Nareszcie koszulę jakąś założyć." Strasznie był obrażony, ale myśmy jednak byli dzicy ludzie: „Won smarkaczu, nie zawracaj głowy!" Nareszcie żeśmy zmienili koszule, przepraszam ze wyrażenie, gacie też, tylko te panterki śmierdziały jak cholera, ale to były nasze.

[…]

Materiał 10

Bogdan Celiński, pseudonim „Wiktor"

Rocznik 1921, plutonowy podchorąży, Wola, Stare Miasto, Czerniaków

Bierzemy broń i pojedynczo czy też parami we wzrokowej łączności idziemy na róg Mireckiego i Żytniej. Tam jest nasze miejsce postoju, tam się przebieramy, tam jest już całe Zgrupowanie „Radosław", tam wszyscy ciągną. To jest fabryka „Telefunken", którą zajmujemy wraz z całym terenem obok. Mnie „Kołczan" wysyła na czujkę. Hasło jest: „Do Brody". Widać, jak gęsto idą od „Brody", do „Brody", bo to jest przecież dużo ludzi – Zgrupowanie „Radosław" miało kilkaset osób. Na czujce już rozlegają się strzały. Ja

się nawet jeszcze nie przebrałem. Zdążyłem tylko beret i jakąś bluzę założyć. Potem mnie zmienił chyba Witold Sikorski. Już się przebrałem i wyruszamy. Wtenczas jak byłem na czujce, rozległy się strzały z ulicy Okopowej… Wracam do fabryki i nasz pluton wyrusza ulicą Mireckiego i dalej w Okopową pod obóz „Gęsiówka". Tam opanowany jest początek tego obozu i cmentarz żydowski. Dalej jest zajęta szkoła na Okopowej 55, potem tak zwana twierdza, i to jest nasze miejsce postoju – baza wypadowa dla naszych dalszych działań. Już formują się plutony. Naszym plutonem dowodzi „Kołczan", mimo że tuż przed Powstaniem naszym plutonem miał dowodzić Andrzej „Długi", ale on oddał dowództwo „Kołczanowi", dlatego że od początku konspiracji to właśnie „Kołczan" był tym [dowódcą] właśnie […]. Zajmujemy miejsce na gruzach, właściwie vis –a- vis obozu na Gęsiówce.

2 sierpnia był jeszcze wypad po mundury. Jedziemy po mundury na ulicę Dziką. Gdy idziemy z powrotem z tymi mundurami, podjechał czołg, ostrzelał całą tę ulicę. Myśmy odczekali. Wracamy ulicą Okopową. Tuż za murem cmentarza Powązkowskiego ostrzał. Niemcy stoją od nas dwadzieścia kroków. Tam jest mnóstwo Niemców, mają jakieś pojazdy i ostrzeliwują nas. Że oni nas wtenczas nie rozkwasili, to znów jakiś cud. Ranny zostaje tylko jeden z naszych na górze. Witold był na górze, ja siedziałem koło szofera Tomka Misiewicza. Siedziałem koło niego i zostałem lekko ranny, tak że nasza Zosia – szefowa wszystkich dziewcząt, robiła mi opatrunek. Ten na górze dostał postrzał twarzy. Był w szpitalu i zginął. Mamy już mundury, to znaczy nasze pancerki, które furorę robiły na Starym Mieście. Jesteśmy umundurowani jednolicie, pancerki, buty wojskowe. […]

Jest początek Powstania, pełnimy dyżur na gruzach getta, jesteśmy na cmentarzu żydowskim. Pada deszcz. 5 sierpnia ma miejsce bardzo istotne dla nas wydarzenie. Pierwszego dnia, jak [był] wypad po mundury, to wtedy nadjechał za nami jeden czołg i został obrzucony przez nas granatami. Zosia robiła mi opatrunek, a ja stałem wysoko i widziałem, jak koledzy („Maryśka" i jeszcze inni) idą wzdłuż ulicy Okopowej i rzucają granaty. Po każdym rzucie „gammonem" (takie duże granaty) ten czołg się lekko przestawia, ale jedzie dalej. Utknął przy dowództwie na Okopowej, róg Mireckiego. Tam było miejsce postoju dowódcy zgrupowania „Radosława". Tam utknął i został potem zreperowany. To było pierwszego albo drugiego dnia – już nie pamiętam. Ten jeden czołg jest unieszkodliwiony, ale drugi jest już na chodzie i jest atak na „Gęsiówkę". „Gęsiówka" jest mocno uzbrojona, na wieżyczkach są karabiny maszynowe.

[…]

Na „Gęsiówce" znajdowali się więźniowie, przeważnie Żydzi różnych narodowości. W „Gęsiówce" było chyba 340 więźniów. Pluton „Felek" atakuje z lewej, z prawej pluton „Alek", a środkiem idzie „Giewont" ze swoimi chłopcami. Podjeżdża czołg. Jesteśmy po prawej stronie „Gęsiówki". Czołg jedzie ulicą Gęsią, skręca w lewo, rozwala bramę i wjeżdża dalej. Po tym byłem w środku, ale nie w pierwszej linii. Pierwsza linia to był czołg. Tam z tej strony wpadli ci od „Giewonta", potem zaraz my i tam byli uwolnieni ci Żydzi. No to było wydarzenie. Była eksplozja radości tych Żydów. Byliśmy w entuzjastycznym nastroju. Wydarzenie rzeczywiście dużej miary, dlatego że „Radosław" się bał, że będą za duże straty w ataku na uzbrojony obóz „Gęsiówki". Okazało się, że tylko jeden został zabity i to tylko dlatego, że za wcześnie wpadł.

Potem idziemy do dowództwa jako odwód. Na ulicy Okopowej mamy służbę jeden, dwa dni; trzeciego dnia, czyli 8 sierpnia, jest atak Niemców od strony Woli, na dużą skalę – czołgi, granatniki. Na cmentarzu ewangelickim jest „Parasol". Idziemy ich zmienić. Widzimy, jak oni są ostrzelani, niektórzy ranni, zajmujemy ich miejsca. I tam dochodzi do wielkiego starcia. Niemcy atakują dużą siłą i dla naszego plutonu jest tragiczny dzień, bo ginie nas prawie ośmiu z plutonu „Alek". Ginie mój przyjaciel Henryk Petryka pseudonim „Karol" i ginie „Sosna", ginie „Tadzio" Wuttke […]. Giną inni bliscy, to znaczy Zborowski i ginie „Kołczan" – dowódca plutonu, ten który w tylu akcjach brał udział, który był wielkim bojowcem[…]. Ja zostaję ranny. Zabierają mnie dziewczęta. Opatrunek robi mi Żyd węgierski, to znaczy dziewczęta najpierw robią opatrunek, ale krwawię. On robi mi jeszcze zastrzyk przeciwbólowy. Na szczęście odwożą mnie do Szpitala Jana Bożego na ulicę Bonifraterską. Na Bonifraterskiej jestem kilka dni, póki nie zacznie się znów atak od strony Żoliborza. […] Wycofujemy się stamtąd, idziemy na punkt Koźla 7. Opuszczamy teren Koźla 7. Potem jeszcze na Mławską 5. Potem z Mławskiej 5 na Koźlą 7. Przychodzą łączniczki i nasi ranni idą kanałem aż do Śródmieścia. Spotykamy się w Śródmieściu. Ja idę do rodziny „Karola", ale sąsiadka (pani z tego domu, która już mnie znała) mówi, żeby nie mówić rodzicom, że „Karol" zginął, żeby ich nie załamać. Po tym jeszcze jestem do 5 września. 5 września idziemy na Czerniaków. Na Czerniakowie nasz pluton obejmuje placówkę na ulicę Książęcej 1. Dowódcą zostaje już „Książę" – Andrzej Samsonowicz (Henryk to jego brat – historyk). […] Tam jesteśmy do 13 września. 13 września jest znowu atak Niemców. Taki atak, że się cudem wycofujemy pod ogniem. […] Wycofujemy się na Wilanowską 18. Potem Wilanowską 1, gdzie jest jeden budynek, który obsadzamy. Przedtem przyjeżdżają jeszcze tak zwani berlingowcy zza Wisły i tam są z nami. Potem jest próba przebicia. Przebicie załamuje się, nie udaje się. Po tym udaje mi się przejść przez zwalony most Poniatowskiego.

Materiał 11
Mirosława Jezierska, pseudonim „Barbara"

Rocznik 1928, sanitariuszka, Stare Miasto, Śródmieście

Ale budynek PAST-y bez przerwy był w rękach niemieckich. To była forteca, to był pogrom dla całej okolicy. Snajperzy strzelali w każdą stronę. Ranni padali dosłownie jak muchy. Całym naszym marzeniem było pozbyć się tego budynku. Unicestwić ten wielki, olbrzymi, dla nas niebezpieczny budynek. Na tę PAST-ę było prawdopodobnie cztery, czy pięć wypadów, może nawet więcej, ale niestety, to był bastion nie do zdobycia. Wewnątrz tej PAST-y było mniej- więcej 150 Niemców. Mieli bardzo dużo broni, jeszcze byli wspierani samolotami. Niemcy donosili, dowozili im z Ogrodu Saskiego żywność, broń, dosłownie wszystko im zabezpieczali. W Ogrodzie Saskim była bardzo duża ilość wojska niemieckiego. W międzyczasie były bitwy na Starym Mieście. Oni [AK] na Starym Mieście już nie wytrzymywali takiego dużego naporu, było bardzo dużo zabitych i rannych. Postanowili przedostać się do Śródmieścia, bo w Śródmieściu było po prostu spokojniej. Nasz dowódca zadecydował, że należy dać szansę przebicia się tym ludziom, temu wojsku ze Starego Miasta, które chce przejść nie kanałami, tylko górą. Należało spowodować akcję w okolicy Ogrodu Saskiego, żeby ta część Niemców, która [tam] jest, która robi ostrzał naszych żołnierzy wychodzących ze Starego Miasta [została zaatakowana z flanki], żeby część tego wojska przeszła i walczyła razem z nami. Tamci, którzy idą ze Starego Miasta, będą mieli mniej przeciwników, więc część poszła górą, a część kana-

łami. Wyjmowałam tych ludzi z kanałów. Wyjście było na rogu Wareckiej i Nowego Światu. To były bardzo ciężkie chwile, kiedy wyciągało się ludzi brudnych, zmęczonych, spragnionych, którzy dosłownie padali. Każde z nas starało się coś z siebie zdjąć i dać tym ludziom do ubrania. Już pilnowaliśmy się, żeby nawet bluzki-nie bluzki, cokolwiek. Jak miałam fartuch sanitariuszki, to mogłam ze spodu oddać wszystko, co miałam, żeby zostać w tym fartuchu, bo oni byli bez niczego. Może wrócę do tej PAST-y. To było z 19 na 20 sierpnia. Zawezwano nas wcześniej, mniej więcej półtorej doby czekaliśmy. Ja byłam na Próżnej 7, wiem, że to było na pierwszym piętrze. Był pusty pokój, jeden tapczan, nas było z piętnaście osób, nie wytrzymaliśmy stać dłużej. Każdy marzył o tym, żeby gdzieś usiąść, więc siadaliśmy na podłodze, a na tapczanie to tak opierając się plecami jedna o drugą osobę. Próbowaliśmy podrzemać troszkę no i [o] 20 w nocy zawiadomiono nas, czyli czekaliśmy całe przedpołudnie, popołudnie. Strzały były, bez przerwy strzelali. Ale strzały były tak silne, że dosłownie wszystko się trzęsło. Dzielił nas tylko jeden budynek, może nie tyle budynek, ile jeden przedział domów. W każdym bądź razie, gdzieś około godzin wieczornych powiedziano nam: „Słuchajcie, wymarsz, zbierajcie się!". Wszyscy stanęliśmy w szeregu i po cichutku wzdłuż budynku przeszliśmy w kierunku PAST- y. Tam się okazało, że dostać się do PAST-y wcale nie jest proste, nasi już tam toczyli bój od kilkunastu godzin. My weszliśmy do wnętrza, gdzie już było dosyć sporo żołnierzy wewnątrz, nie tylko z mojej kompanii, z mojego batalionu, ale z innych jednostek także, bo udział naszych żołnierzy był mniej więcej w ilości dwustu, może więcej osób.

[…] Ja byłam sanitariuszką. Weszłam jedna z ostatnich, bo już walka była wewnątrz budynku i przede mną wchodził kolega, który miał ze sobą karabin. Pseudonim miał „Smuga". Kiedy weszliśmy do środka – po kładce, która miała w deskach poprzebijane szczebelki - to [zobaczyłam, że] okno nie było zabezpieczone kratami. Wewnątrz budynku nie było już żołnierzy, bo wszyscy pobiegli na górę - tam się toczyła walka - „Smuga" powiedział do mnie: „Przysuń ze mną ten stół do okna, to będę miał bardzo dobrą pozycję, żeby w razie [czego] ostrzał zrobić. Będzie dla mnie lepsze, najwygodniejsze położenie." Ja mówię: „Proszę cię bardzo". Wzięliśmy stół, dosunęliśmy do okna, „Smuga" wszedł na stół, uprzednio wyjął z kieszeni magazynki, założył karabin, położył troszkę tzw. pestek, czyli naboi i mówi do mnie: „Będziesz mi ładowała, jak będę potrzebował." W pokoju było duszno, ciemno, oddychać nie było czym. Na zewnątrz PAST-a była polewana cała szlauchem. Podłączono to do motopompy i tym szlauchem po oknach, starali się jak najdokładniej podpalić, żeby Niemców wykurzyć ogniem. Paliły się framugi. Nie było czym oddychać. Niemcy z góry rzucali granaty, nie pojedynczo, tylko całymi wiązkami. Więc huk straszny, zaduch niesamowity, oddychać nie ma czym i w takim momencie usłyszałam uderzenie. Patrzę - przewraca się ten kolega „Smuga", złapałam go w połowie drogi do ziemi, nim spadł. Przytrzymałam za ramiona, uderzył już nogami, głową o ziemię. Rozdarłam koszulę, żeby zobaczyć, co się stało - szukałam rany. Zobaczyłam tylko małe zadraśnięcie dosłownie, małe zadraśnięcie, które w bardzo szybki sposób wypełniało się. To był... To było wejście pocisku. Sprawdzałam czy on żyje, czy nie żyje. Nie było oddechu, nie było pulsu. Stałam, zastanawiałam [się], jak szybko człowiek umiera. Byliśmy sami w pokoju. Odciągnęłam go pod mur, pod ścianę, sama stanęłam przy ścianie, z której co raz odpadał świeży kawałek tynku, bo pociski, strzały z przeciwległej strony padały w dalszym ciągu. Kiedy stwierdziłam, że już on nie żyje i nie wiem co mam zrobić dalej, wyszłam z tego pokoju, już nie byłam sama, na górze już byli nasi. Nie weszłam na górę, bo chłopcy zbiegali i w górę, i w dół, ale wiedziałam, że tam już są nasi. Nie potrafię powiedzieć, ile czasu to trwało, to trwało bardzo długo. Kiedy zeszli już nasi chłopcy na dół, jeden z nich zażądał chwili ciszy, żeby pożegnać kolegę, który został zabity. I później ja już wychodziłam, chłopcy wychodzili z dołu krzycząc, że Niemcy się poddali, więc wszyscy zaczęli opuszczać [PAST-ę]. To [tyle], co ja widziałam. Chłopcy na górę, zanieśli sztandar, wetknęli sztandar, że PAST-a została zdobyta przez nas.

Materiał 12
Mieczysław Madejski, pseudonim „Marek"

rocznik 1923, podchorąży, Wola, Stare Miasto, Śródmieście, Górny Czerniaków

Mieliśmy poszczególne, różne drobne wypady i różne akcje i potem (już nie pamiętam, którego dnia 2 albo 3) była najpierw akcja „Gęsiówka". Uwolniliśmy Żydów. Chyba 3 albo 4 sierpnia już nie pamiętam dokładnie, była akcja na Gęsiówkę. Uwolniliśmy Żydów na Gęsiówce, gdzie było około trzystu pięćdziesięciu Żydów różnych narodowości. Byli praktycznie skazani na karę śmierci. Już mieliśmy wtedy czołg, a stacjonowaliśmy w [budynku] o pięknej nazwie – „Twierdza". „Twierdza" to była nazwa naszej szkoły na ulicy Okopowej. Piękna nazwa – „Twierdza". Atakując z „Twierdzy", mieliśmy już wtedy dwa czołgi zdobyte – jeden nieczynny, drugi czynny. Czołg wjechał od razu w bramę Gęsiówki, wymalowana była z boku lilijka, tak że Niemcy nie wiedzieli, kto to jedzie, myśleli, że pomoc dla nich, a myśmy wjechali, pluton pancerny Batalionu „Zośka". „Wacek" był dowódcą czołgu, wjechał. Był przed wojną oficerem czy podoficerem. Przejechał czołgiem, a myśmy [ruszyli]z różnych stron. Atak naszego plutonu był od garbarni (była garbarnia Pfeiffera), stamtąd atakowaliśmy. Atak był bardzo szybki, bardzo krótki, dlatego że praktycznie było niewiele walk. Nawet nikt nie zginął, dlatego że Niemcy jak zorientowali się, że są atakowani, to uciekli. Do tego stopnia, że w baraku, w którym mieli stołówkę, jak myśmy wpadli, to jeszcze stała zupa gorąca na stołach.

Naturalnie Żydzi nam od razu przynieśli wodę, bo nie było co pić. Niemcy sprowadzali specjalnie dla siebie butelkowaną wodę, żeby nie pić takiej wody. Ochłodziliśmy się wodą. Żydzi się zachowywali jak małe dzieci, dlatego że byli już pewni, że zginą prawdopodobnie, byli przeznaczeni na karę śmierci, bo to była kwestia prawdopodobnie dni albo godzin, tak że [cieszyli się z oswobodzenia] dosłownie jak małe dzieci. Poza tym przez okres przebywania stale w obozach, potracili swoją świadomość, swoją siłę, swoją wiarę w siebie. Już nie wierzyli. Dosłownie cieszyli się, klękali. Natomiast była pewna grupa, [która] od razu się zorganizowała i się zameldowała, że chcą walczyć razem z nami przeciwko Niemcom. Ci Żydzi zostali podzieleni, takie mieli możliwości: albo dostać broń i walczyć wspólnie z nami albo przyjść jako pomoc do zaopatrzenia, do nas. Taka grupa się do nas [dołączyła], chyba było dziesięciu czy dwunastu, którzy się do nas dołączyli, w ten sposób, że pomagali – nosili nasze zaopatrzenie, byli członkami naszego zespołu. Częściowo uzbrojeni i nieuzbrojeni, ale się nas trzymali. Trzecia grupa, której powiedziano: „Jeżeli nie chcecie ani tak, ani tak, to macie, przebierzcie się w cywilne ubrania i łączcie się z ludnością cywilną".

Czy to byli młodzi ludzie, którzy wstąpili do pana, do plutonu?

Tak. Do naszego plutonu się dziesięciu [dołączyło]. Moim zastępcą był wtedy „Halinka" – Wojtek (zapomniałem nazwiska), [który] nimi dowodził. Stosunki były idealne, bo „Halinka" potrafił tak zorganizować, że byli bardzo pożyteczni, bardzo dobrze nam się współpracowało.

Kiedy byliśmy na Wilanowskiej, przyszedł desant berlingowców, wylądowali u nas berlingowcy. Przyszedł pierwszy rzut berlingowców, więc żeśmy się ucieszyli, dlatego że mieli zaopatrzenie, mieli broń. Niestety zaopatrzenie, jakie mieli było bardzo skromne na warunki walk miejskich. Przede wszystkim przynieśli rusznice przeciwpancerne. Rusznica przeciwpancerna – broń rosyjska do zwalczania czołgów, do zwalczania „Goliatów". Ale mieli siedem czy osiem naboi do tej rusznicy, to niewielka pociecha. Poza tym amunicji mieli tylko tyle, co mieli na sobie. Mieli po raz pierwszy pepesze i karabiny mieli, ale zapas amunicji mieli bardzo mały i zaopatrzenie w żywność też było bardzo małe. Mieli dostać pomoc. Ta pomoc nie nadeszła. Byłem blisko z dowódcą, gdzie była radiostacja. Dowódca prosił stale o pomoc. Odpowiedź była, że czekają na odpowiedź od Stalina i stale Stalin nie miał czasu dać odpowiedzi, żeby przyszła pomoc. Tak że żaden następny rzut już nie przyszedł. Kilka osób z naszej grupy, bardzo ciężko rannych, berlingowcy na drzwiach zanieśli, bo nie było nawet noszy, na łodzie, które przypłynęły i łodziami ich odprawili na drugą stronę, na Saską Kępę. Niestety wylądowali ci koledzy – bo teraz z nimi rozmawiałem, dwóch znalazłem – w szpitalu, ale po szpitalu od razu wylądowali w Otwocku w UB i potem „na białe niedźwiedzie". Pomoc nigdy nie przyszła. Dowódcą grupy żołnierzy, gdzie z nimi byłem, był Polak, który długie lata spędził w Rosji. Był w stopniu podporucznika czy porucznika i kierował artylerią zza Wisły, która miała nam pomagać ostrzeliwać. Głównie było ostrzeliwanie Uniwersytetu Warszawskiego, bo byliśmy najbliżej. Z uniwersytetu, który był na pochylni, nadawał. Byli w lepszej pozycji, [lepiej] położeni i zadali olbrzymie straty. Kierował ogniem. To były katiusze. Nasz punkt obserwacyjny był adin o siedem – jeden zero siedem. Pamiętam, jak krzyczał: „Dawaj ogien, dawaj ogien!" – i podawał jeden zero siedem. (Są takie rzeczy, które pamiętam, utrwaliły się).

Materiał 17
Wola

1 sierpnia, tak jak dziś pamiętam, z dużego pokoju wychodziły dwa olbrzymie okna na ulicę Okopową, stałam przy oknie, przy parapecie […]. Już się przygotowywałam do szkoły, okładałam sobie książki papierami i nagle od strony getta gruchnęły strzały. Myśmy nie wiedzieli początkowo co to jest. Wiedzieliśmy, że Powstanie będzie, ale nie wiedzieliśmy dokładnie którego dnia. Gruchnęły strzały, ulica nagle się wyciszyła, nie było żadnego człowieka na ulicy Okopowej. Tylko pamiętam […]patrząc na ulicę Okopową zobaczyłam rozbrykanego konia, który ciągnął bryczkę bez człowieka. Ten koń susami przeleciał od strony ulicy Powązkowskiej, od strony [ulicy] Mireckiego w stronę placu Kercelego. I te strzały. I nagle zaroiło się od powstańców. […] Okazuje się, że na ulicy Mireckiego była fabryka Telefunken, gdzie był punkt zborny powstańców. To jest fakt autentyczny, bo tam też byłam, zajrzałam, bo tak wszędzie mnie było pełno. Zresztą powstańcy nie za bardzo się cieszyli, jak tam się cywile kręcili, ale też i tolerowali. Tam widziałam powstańców. […]. Tam na ulicy Mireckiego też żeśmy nosili obiady. Bardzo skromniutkie obiady, bo była bieda, ale co można, to się robiło.

Hanna Brelska*; urodzona w 1927 roku; służby pomocnicze, cywil*

Cmentarz ewangelicki, na nim były już bitwy prawie bezpośrednie, miedzy Niemcami a nami. „Gryf" został koło mnie ranny w szczękę, część „Parasola" się wycofała, ale głównie pierwsza kompania została, byłem w pierwszej kompanii naturalnie, do niej należał też „Gryf". O godzinie dziesiątej, jedenastej zaczął się ostrzał z moździerzy, setki granatów padały ze wszystkich stron. Koledzy ranni, krew wypływa z ich ust i oni tą krew połykali, bo chcieli żyć. […] Jest ogólny grób, na cmentarzu ewangelickim było w masowym grobie pięćdziesięciu sześciu „parasolarzy" z pierwszej kompanii pochowanych. Więc tam była rzeź. Z pierwszej kompanii może dwudziestu wyszło nadających się dalej do walki. Wątpię, że dwudziestu, może piętnastu. Tak że cała pierwsza kompania właściwie przestała istnieć 8 sierpnia, na samym początku Powstania została wybita.

Jerzy Bartnik „Magik"*; urodzony w 1930 roku; kapral; Batalion „Gustaw"*

Jak się zaczęło Powstanie, była tak wielka radość ludzi cywilnych, ludzi, z którymi myśmy wokół mieszkali, że nie tylko ja jedna, wszyscy ludzie rzucili się, żeby pomagać powstańcom. […] W jaki sposób? Gotowaliśmy im obiady, udostępnialiśmy im mieszkania, żeby oni mogli się wykąpać, pomagaliśmy im czyścić mundury, nawet przyszywać guziki. To wszystko, co może zrobić człowiek młody, cywilny. Jeżeli chodzi o mnie osobiście, to wraz z moimi siostrami biegałyśmy do szpitalika na ulicę Wolność 14. Tam był punkt opatrunkowy i w punkcie opatrunkowym można było pomagać powstańcom. Nawet z wielkim entuzjazmem szorowałam schody, żeby było jak najczyściej i pomagałam siostrom […]. Pamiętam tak że, to był szpital, normalny, Karola i Marii, róg ulicy Żytniej i Karolkowej. To był szpitalik dziecięcy, tam były małe łóżeczka, ale kiedy zaczęły się pierwsze transporty rannych do tego szpitala, to powstańcy leżeli na małych łóżeczkach, ale później organizacja tak była sprawna, że i nawet duże łóżka do tego szpitala Karola i Marii też ściągali. Pomagałam w szpitalu św. Łazarza, róg Karolkowej i Leszna, obecnie ten szpital tam teraz też jest. Tam był główny szpital powstańczy. Trzeci szpital powstańczy był na róg Płockiej i Górczewskiej, on się nazywał Szpitalem Wolskim. […]Tam też żeśmy z siostrami, z koleżankami jakieś paczuszki nosiłyśmy. Co w tych paczuszkach było, to nie wiem. Chodziło o to, żeby jak najbardziej być czynnym, żeby tym ludziom pomagać. Trwało to tylko do 5 sierpnia, dlatego, że już 5 sierpnia oddziały Dirlewangera i Reinefartha parły od zachodu i zaczęły te oddziały zajmować Wolę od strony ulicy Bema, od strony ulicy Sokołowskiej i parli na Szpital Wolski, róg Płockiej i Górczewskiej. Już później nie mogłyśmy nosić tam żadnych paczek, dlatego, że oddziały tych dwóch zbrodniarzy wojennych wymordowali cały szpital, cały personel szpitalny włącznie z lekarzami, z chorymi. Wszystkich mordowali, choćby to były nawet małe dzieci.

Hanna Brelska*; urodzona w 1927 roku; służby pomocnicze, cywil*

Uwolniliśmy Żydów na Gęsiówce, gdzie było około trzystu pięćdziesięciu Żydów różnych narodowości. Byli praktycznie skazani na karę śmierci. Już mieliśmy wtedy czołg, a stacjonowaliśmy w [budynku] o pięknej nazwie – „Twierdza". „Twierdza" to była nazwa naszej szkoły na ulicy Okopowej. Piękna nazwa – „Twierdza". Atakując z „Twierdzy", mieliśmy już wtedy dwa czołgi zdobyte – jeden nieczynny, drugi czynny. Czołg wjechał od razu w bramę

Gęsiówki, wymalowana była z boku lilijka, tak że Niemcy nie wiedzieli, kto to jedzie, myśleli, że pomoc dla nich, a myśmy wjechali, pluton pancerny Batalionu „Zośka". „Wacek" był dowódcą czołgu, wjechał. Był przed wojną oficerem czy podoficerem. Przejechał czołgiem, a myśmy [ruszyli]z różnych stron. Atak naszego plutonu był od garbarni (była garbarnia Pfeiffera), stamtąd atakowaliśmy. Atak był bardzo szybki, bardzo krótki, dlatego że praktycznie było niewiele walk. Nawet nikt nie zginął, dlatego że Niemcy jak zorientowali się, że są atakowani, to uciekli. Do tego stopnia, że w baraku, w którym mieli stołówkę, jak myśmy wpadli, to jeszcze stała zupa gorąca na stołach.

Naturalnie Żydzi nam od razu przynieśli wodę, bo nie było co pić. Niemcy sprowadzali specjalnie dla siebie butelkowaną wodę, żeby nie pić takiej wody. Ochłodziliśmy się wodą. Żydzi się zachowywali jak małe dzieci, dlatego że byli już pewni, że zginą prawdopodobnie, byli przeznaczeni na karę śmierci, bo to była kwestia prawdopodobnie dni albo godzin [. . .]. Poza tym przez okres przebywania stale w obozach, potracili swoją świadomość, swoją siłę, swoją wiarę w siebie. Już nie wierzyli. Dosłownie cieszyli się, klękali. Natomiast była pewna grupa, [która] od razu się zorganizowała i się zameldowała, że chcą walczyć razem z nami przeciwko Niemcom.[. . .]. Taka grupa się do nas [dołączyła], chyba było dziesięciu czy dwunastu, którzy się do nas dołączyli, w ten sposób, że pomagali – nosili nasze zaopatrzenie, byli członkami naszego zespołu. Częściowo uzbrojeni i nieuzbrojeni, ale się nas trzymali..

Mieczysław Madejski „Marek"*; urodzony w 1923 roku; podchorąży; dowódca plutonu „Topolnicki", Batalion „Zośka", BRODA 53 zgrupowanie „Radosław"*

Straszne walki na Woli zaczęły się 3, 4 sierpnia. Niemcy z Wolskiej atakowali i koniecznie chcieli nas zlikwidować. Na cmentarzach stał „Parasol". Za wszelką cenę. Niemcy czołgami podjeżdżali. My zdobyliśmy już pierwsze zrzuty, mieliśmy PIAT-y, doskonała broń przeciwczołgowa. Była sprężyna, naciągało się ją i pocisk na odległość pięćdziesięciu metrów niezawodnie trafiał w czołg i wybuchał. To jest taka gruszka, wypełniona materiałem wybuchowym. W czołgach były zniszczone gąsienice i palił się. To była wielka pomoc podczas Powstania, PIAT-y przeciwczołgowe. Właściwie Niemcy nie mieli żadnych szans zbliżenia się z czołgiem do naszych barykad. Jak na barykadzie był PIAT i czołg podszedł, to został zawsze zniszczony. W ten sposób batalion „Zośka" zdobył trzy czołgi. Dwa udało się uruchomić i mieliśmy dwa czołgi pełnosprawne, jeden był mocno uszkodzony, już nie dało się go uruchomić. Jedyne zgrupowanie, które miało czołgi. Kapitan „Wacek" został dowódcą tych dwóch czołgów. Wtedy zdobyta była „Gęsiówka", gdzie byli Żydzi przetrzymywani i sporo tych Żydów zostało wcielonych do oddziałów. [. . .]

Koniecznie chcieliśmy zdobyć Szpital Wolski i wzdłuż ulicy Pańskiej było silne natarcie naszych trzech batalionów, trzech kompanii. Niestety bardzo dużo wtedy zginęło chłopców. Atakowaliśmy przez pola, to były właściwie kartofliska. Na tych kartofliskach zginął mój kolega z Rydzyny, Staszek Potworowski, tuż obok mnie. Bardzo to przeżyłem, bo on był dwa lata młodszy ode mnie. Znałem jego rodziców i jego osobiście, tak że przeżyłem głęboko jego stratę. To natarcie załamało się niestety, nie zdobyliśmy szpitala, nie uwolniliśmy rannych. 7, 8 sierpnia zaczęliśmy już się pomału wycofywać, przez Stawki. Bardzo dużo zdobyliśmy magazynów na Stawkach. Tu było ogromne zaopatrzenie i żywności, i mundurów. Wtedy po zdobyciu Stawek wszyscy się umundurowaliśmy w panterki. Całe Zgrupowanie „Radosław", wszyscy żołnierze otrzymali panterki. Znani byliśmy, Stare Miasto w panterkach było umundurowane.

Zbigniew Ścibor-Rylski*, „Motyl", urodzony 1917, kapitan, Zgrupowanie „Radosław", Batalion „Czata 49"*

Materiał 18
Stare Miasto

Na Starym Mieście pierwszych parę dni było pełnych entuzjazmu, nadziei, że rzeczywiście wszystko się uda i będziemy wolni. Ale to trwało bardzo krótko. Pierwszego czy drugiego dnia Powstania były bardzo spontaniczne defilady, oczywiście w kościołach msze. To wszystko trwało bardzo krótko. Niemcy się zorganizowali, od razu zaczęli szturm ze wszystkich stron. W Śródmieściu zdaje się w pierwszych tygodniach nawet jeszcze szyby nie wyleciały w domach. Na Starym Mieście od razu zaczęło się piekło, dlatego że bombardowali nie tylko z dział, „szaf" czy innych artyleryjskich dział, ale bez przerwy były naloty. Stare Miasto to było rzeczywiście piekło na ziemi. Wszystko zostało spalone, zniszczone, właściwie zrównane z ziemią.

Krystyna Dąbrowska; *urodzona w 1930 roku; cywil*

W piwnicach były świeczki. Przeważnie świeczki, bo nie było latarek, wszystko gasło, ale jeszcze ten ostatni płomień był, [widać było jak] strop się uginał. To były sekundy, zachwianie tego stropu i ostatnie spojrzenie [w tym] słabym świetle świeczki [i myśl], że ten strop za chwilę runie na głowy. Oczywiście zawsze po takich wybuchach nie można było oddychać, bo było masę kurzu, człowiek się dusił. To było bardzo dramatyczne, bo właściwie w takich sytuacjach to było oderwanie od realizmu. Nie wiadomo było, trudno było sobie zdać sprawę, czy człowiek żyje, czy już nie, bo się dusi. [. . .] Ludzie [zaczynali] dusić się, kasłać. To był ogromny stres. Był już zamęt niesłychany, ale były ekipy ratownicze, które przebijały przejścia z jednej piwnicy do drugiej. To było dobrze zaplanowane, że jak dom runął, czasami te przejścia były ocalone, można [było] przejść do następnej piwnicy. Było bardzo trudno, nie można było oddychać, było masę pyłu w powietrzu. [. . .] [Piwnice] Były zapchane, były też małe dzieci. Poza tym już nie było wody, nie było przecież wody w kanalizacji. Trudności były z dojściem do jakiejś studni. Właściwie tylko [przez] pierwsze dni każdy miał zapasy żywności. Przecież Powstanie nie było obliczone na długie tygodnie, tylko na jakieś parę dni. Brakowało żywności, nie można było dostać. Specjalnie na Starym Mieście nie było ogródków. Wiem z opowiadań, że na Mokotowie czy w innych dzielnicach, gdzie były jakieś ogródki, to jeszcze były nadzieje, że w tych ogródkach coś rosło, jakieś pomidory, warzywa. Tutaj nic nie było.

Krystyna Dąbrowska; *urodzona w 1930 roku; cywil*

W Wytwórni Papierów Wartościowych były magazyny żywnościowe, była czekolada, ziemniaki suszone, Bóg wie co. A na Stawkach były panterki, to była duma chłopaka ze Starówy. Dziewczyny nasze jak się poubierały, bo to z jakiegoś esesmana, to wisiało, ale [to była] dziewczyna ze Starówy! Ogień się przeszło, ale rzeczywiście… Muszę powiedzieć na marginesie, że takich dziew-

czyn jak były na Starym Mieście, to nigdzie nie spotkałem. To były dziewczyny!

Apolinary Cynk-Borucki „Boruta”*; urodzony 12 maja 1925 roku w Warszawie; kapral podchorąży; Batalion „Gozdawa”*

[…] na Starym Mieście nie brakowało nam cukru, konserwy były ze Stawek. Nie zaznałem głodu. Była jeszcze jedna rzecz, na naszej pozycji była starka. Starka to gorzała. Bo tam były składy Simona Isteckiego, chłopaki czasem szli na bańce. Trzeba było, [bo było] ciężko. Były sytuacje, że człowiek normalnie nie wytrzymałby. […]

Trzeba było widzieć ludzi jak myśmy wychodzili. Mieliśmy się przebić. Trzeba powiedzieć o tej ludności. Ludność Starego Miasta była wspaniała. Oni do nas: „Trzymajcie się, chłopaki.” Sami nie mieli co jeść, ale w bramie na dwóch cegiełkach babina podgrzewała trochę wody: „Dziecko, może jesteś głodny?” Tak się zachowywała ludność Starówki. Jak myśmy opuszczali [Starówkę], mieliśmy się przebić, to oni z wyrzutami: „Dzieciaki! Co? Wy nas opuszczacie?” To było to. Oni w nas wierzyli naprawdę, oni nas trzymali. Mało się o tym pisze, ale ludność Starego Miasta to są wspaniali ludzie… wspaniali ludzie... Taki ogień był, a nigdy nie spotkałem się, żeby ktoś powiedział: „Po coście zrobili Powstanie?” Nigdy, nigdy, to była ludność, czego w Śródmieściu nie zastałem.

Apolinary Cynk-Borucki „Boruta”*; urodzony 12 maja 1925 roku w Warszawie; kapral podchorąży; Batalion „Gozdawa”*

Naturalnie worki z piaskiem i karabiny maszynowe tam stały, a z dużego okna na Piwnej myśmy mieli obserwację. I kilka godzin po naszym przyjściu Niemcy wysłali „goliata”. Nie widzieliśmy, jak ten „goliat” ruszał, widzieliśmy Niemców, otworzyliśmy ogień, oni zaczęli krzyczeć, ale ten „goliat” zaczął sunąć w naszym kierunku, myśmy strzelali, próbowaliśmy ten kabel przestrzelić, ale nadal „goliat” idzie w naszym kierunku. Jak on był jakieś trzydzieści metrów od nas, ja jednego chłopaka – „Mietka” – wysłałem z butelką i granatem przeciwpancernym, ale on nie doleciał, jakieś dziesięć metrów po wybiegu został ciężko ranny, upadł, rzucił tę benzynę, ale nie dorzucił do tego „goliata” i „goliat” już podchodzi do nas, jest jakieś dziesięć, piętnaście metrów od naszej barykady, wiemy że jak wybuchnie to cały dom się zawali. Był u nas taki marynarz, myśmy go „Bosman” nazywali, wielki mocny chłop, on bierze saperkę, to znaczy łopatę i do mnie mówi: „»Magik«, idziemy, ty wyciągaj kabel”. Wiedziałem już, o co jemu chodzi. Krzyknąłem: „Ogień!”. Skoczyłem, złapałem za kabel, wyciągnąłem zza tego „goliata”, a ten „goliat” dalej idzie. On wyskoczył z tą saperką i jednym cięciem przeciął ten kabel. Nim Niemcy się zorientowali, bo to było bardzo blisko dziesięć metrów od nas, to już kabel był przecięty.

Jerzy Bartnik „Magik”*; urodzony w 1930 roku; kapral; Batalion „Gustaw”*

Siedziałem na mojej pozycji. Myśmy mieli siedzieć, bo już schodziły oddziały do kanału, a „Barry”, znajoma postać, stał nad kanałem. Nie puszczał tam nikogo. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego, do cholery ciężkiej, bez broni trzeba było iść, zostawiać broń nad kanałem. Ja jeszcze nie szedłem tamtędy. Jak już szedłem, to wdepnąłem w jakąś maź ludzką, to była twarz, tylko pełno much było na tej twarzy… fatalne to jest… Chłopaki przylecieli po mnie: „Co ty robisz, do cholery ciężkiej?! Chodź!” Właściwie to żeśmy prawie dobijali się do tego, bo Niemcy już byli na placu. Wlazłem w ten kanał. Do dzisiejszego dnia nie mogę się pozbyć [tego wrażenia]. Śmierdziałem cały czas. Miodową fajnie się idzie, jak człowiek wejdzie, to taka cisza. Jak [człowiek] idzie, przepraszam, w tym łajnie, to tylko tak: bul, bul, bul, bul, bul butami. Wstyd mi się przyznać, ale szedłem trochę na bani, bo bym nie wlazł w ten kanał. […] Wlazłem w ten kanał, szło się jakoś dziwnie, ogień, karbid… Nie chcę do tego wracać, nie mogę. Do dzisiejszego dnia sam windą nie pojadę. Nie mogłem znieść tej ciasnoty. Jak się idzie Krakowskim, to trzeba łeb niżej, bo tam chyba jest dziewięćdziesiąt centymetrów, centymetrów tego łajna jakoś wyżej, właśnie tu przy Królewskiej… Nie mogę…

Apolinary Cynk-Borucki „Boruta”*; urodzony 12 maja 1925 roku w Warszawie; kapral podchorąży; Batalion „Gozdawa”*

Teraz muszę powiedzieć, pociski moździerzowe, właściwie w całej Warszawie, były nazwane „krowy”, natomiast my na Starym Mieście nazywaliśmy je „szafy”. Skąd to się wzięło? To ja jestem autorem tych „szaf”. Otóż, pierwsze pociski, pierwsze „szafy” spadły w okolicy Nowego Miasta, na rynku. Myśmy byli wtedy na kwaterze na Świętojerskiej. Przed Powstaniem miałem doskonałe papiery, pracowałem w stolarni, gdzie były montowane szafy ubraniowe. Taką szafę ubraniową jak się przesuwało po podłodze, to ona wydawała charakterystyczny zgrzyt, zupełnie podobny [do pocisku]. Kiedy usłyszałem ten świst i zgrzyt, krzyknąłem: „Szafy!” To momentalnie poszło na całe Stare Miasto. Tak że jak następne szafy leciały, to w innych zupełnie zgrupowaniach [krzyczeli]: „Szafy!” Właściwie, jakby się zapytać, dlaczego szafy, nikt by nie powiedział. Autentycznie, nikt by nie powiedział. Krowa ryczy, ale co ma do tego szafa? Otóż, naprawdę, absolutnie jestem autorem tego [określenia].

Apolinary Cynk-Borucki „Boruta”*; urodzony 12 maja 1925 roku w Warszawie; kapral podchorąży; Batalion „Gozdawa”*

Materiał 19
Śródmieście

Wychodziłem, wyciągnęli nas stamtąd, patrzę, szyby, rany boskie! Gdzie my jesteśmy? Facet chodzi, oficerki wyczyszczone, apaszka, kabura, świeży. Rany boskie! Tu człowiek śmierdzi łajnem i wszystkim. Zaprowadzili nas na Chmielną do łaźni, tośmy się myli, śmierdziało to wszystko, rany boskie! Broń Boże, nie ujmuję oddziałom ze Śródmieścia. Wyłazimy z tej łaźni, śmierdzi to wszystko, że rany boskie, głodny człowiek jest jak piorun. Na Moniuszki stoi jakiś powstaniec na warcie, chodzi, pilnuje czegoś, a tam się pali w sklepach. Zbyszek pyta: „Czego ty tu pilnujesz?” „Bo tam są magazyny.” Mówię: „Jakie magazyny? Co tam jest?” „Odzież jest.” „Jak to odzież? Ty pilnujesz jak się pali?” „Tak kazali.” Mówię: „Dalej, do diabła! Nareszcie koszulę jakąś założyć.” Strasznie był obrażony, ale myśmy jednak byli dzicy ludzie: „Won smarkaczu, nie zawracaj głowy!” Nareszcie żeśmy zmienili koszule, przepraszam ze wyrażenie, gacie też, tylko te panterki śmierdziały jak cholera, ale to były nasze.

Apolinary Cynk-Borucki „Boruta"*; urodzony 12 maja 1925 roku w Warszawie; kapral podchorąży; Batalion „Gozdawa"*

Ale budynek PAST-y bez przerwy był w rękach niemieckich. To była forteca, to był pogrom dla całej okolicy. Snajperzy strzelali w każdą stronę. Ranni padali dosłownie jak muchy. Całym naszym marzeniem było pozbyć się tego budynku. Unicestwić ten wielki, olbrzymi, dla nas niebezpieczny budynek. Na tę PAST-ę było prawdopodobnie cztery, czy pięć wypadów, może nawet więcej, ale niestety, to był bastion nie do zdobycia. Wewnątrz tej PAST-y było mniej- więcej 150 Niemców. Mieli bardzo dużo broni, jeszcze byli wspierani samolotami. Niemcy donosili, dowozili im z Ogrodu Saskiego żywność, broń, dosłownie wszystko im zabezpieczali. […] Ja byłam na Próżnej 7, wiem, że to było na pierwszym piętrze.[…] Strzały były, bez przerwy strzelali. Ale strzały były tak silne, że dosłownie wszystko się trzęsło. Dzielił nas tylko jeden budynek, może nie tyle budynek, ile jeden przedział domów. W każdym bądź razie, gdzieś około godzin wieczornych powiedziano nam: „Słuchajcie, wymarsz, zbierajcie się!". Wszyscy stanęliśmy w szeregu i po cichutku wzdłuż budynku przeszliśmy w kierunku PAST- y. Tam się okazało, że dostać się do PAST-y wcale nie jest proste, nasi już tam toczyli bój od kilkunastu godzin. My weszliśmy do wnętrza, gdzie już było dosyć sporo żołnierzy wewnątrz, nie tylko z mojej kompanii, z mojego batalionu, ale z innych jednostek także, bo udział naszych żołnierzy był mniej więcej w ilości dwustu, może więcej osób. […] Ja byłam sanitariuszką. Weszłam jedna z ostatnich, bo już walka była wewnątrz budynku i przede mną wchodził kolega, który miał ze sobą karabin. Pseudonim miał „Smuga". Kiedy weszliśmy do środka – po kładce, która miała w deskach poprzebijane szczebelki - to [zobaczyłam, że] okno nie było zabezpieczone kratami. Wewnątrz budynku nie było już żołnierzy, bo wszyscy pobiegli na górę - tam się toczyła walka […] W pokoju było duszno, ciemno, oddychać nie było czym. Na zewnątrz PAST-a była polewana cała szlauchem. Podłączono to do motopompy i tym szlauchem po oknach, starali się jak najdokładniej podpalić, żeby Niemców wykurzyć ogniem. Paliły się framugi. Nie było czym oddychać. Niemcy z góry rzucali granaty, nie pojedynczo, tylko całymi wiązkami. Więc huk straszny, zaduch niesamowity, oddychać nie ma czym i w takim momencie usłyszałam uderzenie. Patrzę - przewraca się ten kolega „Smuga", złapałam go w połowie drogi do ziemi, nim spadł. […] Zobaczyłam tylko małe zadraśnięcie dosłownie, małe zadraśnięcie, które w bardzo szybki sposób wypełniało się. To był... To było wejście pocisku. […]. Kiedy stwierdziłam, że już on nie żyje i nie wiem co mam zrobić dalej, wyszłam z tego pokoju, już nie byłam sama, na górze już byli nasi. […] I później ja już wychodziłam, chłopcy wychodzili z dołu krzycząc, że Niemcy się poddali, więc wszyscy zaczęli opuszczać [PAST-ę]. To [tyle], co ja widziałam. Chłopcy na górę, zanieśli sztandar, wetknęli sztandar, że PAST-a została zdobyta przez nas.

Mirosława Jezierska „Barbara"*; urodzona w 1928 roku; sanitariuszka; batalion Kiliński*

Wybuch Powstania zastał mnie na Chmielnej 7. Bracia wyszli, żegnali się ze mną. Wiedziało się, że Powstanie wybucha. Mój syn, który bardzo ładnie malował, wymalował sztandary polskie na domu, gdzie mieściły się szafki kina „Studio", które było w podwórzu. Tam było wejście do kina. Umieścił sztandary w szafkach reklamowych kina od ulicy Chmielnej z napisem: „Niech żyje Polska." Tak że on się dobrze też orientował, że Powstanie wybucha. Byłam pracownicą szwalni dla Powstania. Szwalnia mieściła się w domu braci Jabłkowskich na ulicy Brackiej.

Co należało do pani obowiązków?

Szycie bielizny dla powstańców.

[…] Pracowałam do końca istnienia pracowni, trudno mi dzisiaj powiedzieć, kiedy to było. Byliśmy na Chmielnej. Pewnego dnia Niemcy już wdzierali się od strony Nowego Światu, wyprowadziłam rannego brata na ulicę Widok. Tam zajęliśmy mieszkanie po powstańcu, którego zabito w oknie, zastrzelił go snajper, których nazywaliśmy gołębiarzami. Zajęliśmy mieszkanie. Gromadzili się też powstańcy.

Janina Papierzyńska „Szefowa"*; urodzona w 1910 roku; cywil; pracownica szwalni dla Powstania*

Materiał 20
Czerniaków

Kiedy byliśmy na Wilanowskiej, przyszedł […] pierwszy rzut berlingowców, więc żeśmy się ucieszyli, dlatego że mieli zaopatrzenie, mieli broń. Niestety zaopatrzenie, jakie mieli było bardzo skromne na warunki walk miejskich. Przede wszystkim przynieśli rusznice przeciwpancerne. Rusznica przeciwpancerna – broń rosyjska do zwalczania czołgów, do zwalczania „Goliatów". Ale mieli siedem czy osiem naboi do tej rusznicy, to niewielka pociecha. Poza tym amunicji mieli tylko tyle, co mieli na sobie. Mieli po raz pierwszy pepesze i karabiny mieli, ale zapas amunicji mieli bardzo mały i zaopatrzenie w żywność też było bardzo małe. Mieli dostać pomoc. Ta pomoc nie nadeszła. Byłem blisko z dowódcą, gdzie była radiostacja. Dowódca prosił stale o pomoc. Odpowiedź była, że czekają na odpowiedź od Stalina i stale Stalin nie miał czasu dać odpowiedzi, żeby przyszła pomoc. Tak że żaden następny rzut już nie przyszedł. Kilka osób z naszej grupy, bardzo ciężko rannych, berlingowcy na drzwiach zanieśli, bo nie było nawet noszy, na łodzie, które przypłynęły i łodziami ich odprawili na drugą stronę, na Saską Kępę. […]Pomoc nigdy nie przyszła.

Mieczysław Madejski „Marek"; *urodzony w 1923 roku; podchorąży; dowódca plutonu „Topolnicki", Batalion „Zośka", BRODA 53 zgrupowanie „Radosław"*

Rzadko się myłyśmy. W ogóle się nie czesałyśmy. O myciu zębów nie było co marzyć, o obcinaniu paznokci też nie. A jednak na Zagórnej dziewczęta poszły do fryzjera. Zagórna to blisko już na Czerniakowie, tam mieliśmy przez chwileczkę kwaterę. Byłam taka zaszokowana. Ja się wstydziłam pójść z tym co mam na głowie. Także prawdopodobnie umyły sobie głowy, tak szczegółowo nie pamiętam. Takie były różne doznania.

Irena Trafikowska „Emilia"*; urodzona w 1925 roku; sanitariuszka, łączniczka; batalion „Parasol"*

Wiadomo było, że zbliżają się Niemcy. Rozeszła się taka pogłoska, że od strony Wilanowa, przez pola pomidorowe już się zbliżało wojsko, tak samo ulice od strony Łazienek. Kościół został chyba również zbombardowany albo też... Pamiętam jeszcze wylatujące fragmenty ścian za głównym ołtarzem. Sam kościół się nie zwalił, nie wiem, czy dach został zniszczony, czy nie, tego już nie pamiętam. Pamiętam wypadające ściany, dlatego że za tą ścianą były korytarze tego klasztoru. Już nie było tych ścian, jak myśmy

uciekali z tych pomieszczeń do piwnicy, to już nie było fragmentów ścian odgradzających od kościoła. Tam siedzieliśmy. Panowała panika – co z nami zrobią, rozstrzelają, bo to już wiadomo było, że tak się też dzieje. Mój ojciec znał świetnie niemiecki, więc proszono, żeby poszedł pertraktować ze zbliżającymi się Niemcami, że nie ma tutaj powstańców, że jest tylko ludność cywilna. Tak się stało. Znaleziono białą szmatę, on wyszedł na zewnątrz. Nie wiem, jak przebiegała rozmowa. W każdym razie kazano nam wyjść wtedy spokojnie na zewnątrz do ogrodu. Na zewnątrz już byli Niemcy.

Romuald Drzewiecki*; urodzony w 1933 roku; cywil*

3 września dostajemy rozkaz pójścia na Czerniaków. My jedni z pierwszych z „Radosławem", z 3 na 4 w nocy, przez plac Trzech Krzyży, wcześniej przez barykadę, Alejami Jerozolimskimi przeszliśmy. Pamiętam, że plac Trzech Krzyży był bardzo zniszczony, gruzy, blachy. Jeszcze był rów wzdłuż Książęcej. Poszliśmy na Czerniaków. Nasza kompania „Czata 49", batalion zajął miejsce kwatery na Okrąg. Teraz zaczęła się gehenna Czerniakowa. Zaraz na drugi dzień, jak tylko przyszliśmy, zaczęły walić „krowy". „Krowy" to takie moździerze sprzężone i od razu osiem pocisków, wyjąc, z charakterystycznym świstem wylatuje. Potem działo kolejowe było bardzo dużego kalibru. Akurat Okrąg trafił pocisk, zasypało kilku kolegów. Znowu znaleźliśmy się w takim małym piekiełku. Niemcy chcieli koniecznie nas zlikwidować, bo wiedzieli, że ten przyczółek, to jest jedyna droga połączenia ze wschodnim brzegiem, przez Wisłę. […]

Tak stało się, nastąpiło pierwsze lądowanie wojsk „berlingowców". Pierwszy batalion przepłynął bez żadnych strat, w nocy z 15 na 16 września chyba. […] Wszystkie pontony bez strat przepłynęły, bo Niemcy jeszcze się nie zorientowali. Ale wywiad niemiecki się zorientował po przepłynięciu pierwszych batalionów […] i położyli ogień bardzo silny po nas z moździerzy i artylerii. No ale pierwszy batalion […] został od razu wysłany na ulicę Czerniakowską, żeby jak czołgi wejdą atakować. […] Rozmieszczone zostały wszystkie plutony „berlingowców". Do każdego plutonu był przydzielony nasz łącznik, przecież oni nie orientowali się, jak się mają zachować. […]

Niestety, to byli żołnierze nie przeszkoleni zupełnie do walk w mieście. Przeważnie rolnicy ze wsi, ze wschodu. Może byli przeszkalani do walki w przestrzeni, ale do walk w mieście zupełnie nie. Biedni nie umieli się zupełnie skryć. Stanowiska zajmowali, takie że przeciwnik od razu widział, gdzie się znajdują. […] Mimo tego, że bardzo rwali się do walki, naprawdę.

[…] Następnego dnia już wszystkie pontony, które przeprawiały się z tamtego brzegu na nasz brzeg wypełnione żołnierzami, zostały ostrzelane przez artylerię niemiecką. Straszne straty ponieśli wtedy „berlingowcy". Sam na własne oczy widziałem, bo byłem nad samą Wisłą w rowie strzeleckim, dając znak latarką, gdzie mają przypływać pontony. Na moich oczach te pontony były trafiane i wszyscy żołnierze do Wisły wpadali. […] Od północy i od południa były przez Wisłę położone zapory dymne i nawet mieli „berlingowcy" z czołgami się przeprawić. Niestety Niemcy wtedy położyli tak silny ogień artylerii, że mimo osłony dymnej nie udało się tym pontonom przepłynąć. […] Tragedia ogromna, bo walczyli naprawdę bardzo ofiarnie. Na Przyczółku Czerniakowskim zginęło około trzech tysięcy „berlingowców". Na samym Przyczółku. […]

Pamiętam na Wilanowskiej, gdzie „Radosław" miał swoją kwaterę […], byli ranni w piwnicach, byli „berlingowcy" i Niemcy atakowali nas. Podchodzili już pod samą kamienicę. Z pierwszego i z drugiego piętra ostrzeliwaliśmy się, ale był taki moment, że już by na pewno wtargnęli, bo dużą siłą, z dwoma czołgami, podeszli bardzo blisko. Wtedy przez radiotelefon wezwaliśmy ogień artylerii po nas, po naszym kwadracie. […] Tylko dzięki tej artylerii wtedy zza Wisły, Niemcy zostali odparci, bo my już nie dali byśmy rady, dostalibyśmy się wtedy do niewoli.[…]. Następnie przez radiotelefon „Radosław" podaje do dowódcy sytuację naszą, że jest już tylu rannych, że dalej walczyć nie można. To było z 18 na 19 września. Wtedy z tamtej strony ciągle odpowiadano: Nielzja tak gawarit! Dierży, dierży! – Musicie trzymać przyczółek, a „Radosław" mówi: „Dobrze, będziemy trzymać, jeżeli przyjdą pontony i zabiorą rannych".[…]. Oni powiedzieli: „Dobrze, przysyłamy pontony, zabierzemy wam wszystkich rannych".

Wtedy „Radosław" dał polecenie, żeby wszystkich rannych nad samym brzegiem Wisły ułożyć, przygotować do ewakuacji. Ranni byli wyniesieni z piwnic, z domów i umieszczeni nad samą Wisłą. Im nic nie groziło, dlatego że była duża skarpa i pociski artyleryjskie przelatywały nad nimi. […] Tam działy się naprawdę dantejskie sceny, bo jak pierwszy ponton przyszedł, to najciężej rannych na nim umieściliśmy i dwie, lub trzy sanitariuszki. Przyszedł drugi ponton, tak samo najciężej rannych umieściliśmy. […]. Ale [pozostali] ranni zostają nad brzegiem Wisły, więc „Radosław" znów przez radiotelefon mówi: „Przysyłajcie pontony, bo jeżeli nie zabierzecie tych rannych, to ja Czerniaków opuszczę". No naturalnie z tamtej strony znowu awantura, krzyki, że nie wolno nam opuścić Czerniakowa i że pontony przyjdą. Żadne pontony już nie przyszły i „Radosław" dał polecenie, że 20 września wchodzimy do kanału na Solcu i poszliśmy na Mokotów. Niektóre oddziały jak z „Miotły", „Zośki" nie zostały powiadomione, mimo że były posłane łączniczki przez „Irmę" do wszystkich. Sześć łączniczek chyba wyszło wtedy do naszych oddziałów dalej stacjonujących, żeby przyszli na Solec i żebyśmy weszli do kanałów, no ale widocznie one zginęły. Cała reszta zgrupowania weszła do kanału.

Zbigniew Ścibor-Rylski, „Motyl", urodzony 1917, kapitan, Zgrupowanie „Radosław", Batalion „Czata 49"